

6.06.2009

el

Karty adresowe 1995 - H. Mar.   
upoz. okl. 1997 H. Marink.

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polki  
67-10 Toruń, ul. Podgurna 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl  
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736  
KRS 000041992  
N. rek. 02.10.00 400.0000 00 5000 0000



St. Tikus

Leborko

Gdynia  
JOW. Gr. Pom.

++ Kminkowski Leon

M-806/1495 Pom.

**SPIS ZAWARTOŚCI  
TECZKI**

*Łminkowski Leon*

*J: M-806/1495 Pom.*

*Gdynia JOW "Gr. Pom."*

I./1. Relacja *k. 6 s. 1-6*

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne *brak*

VI. Fotografie *brak*

I/1. Relacja - Glinimkowski Leon

- własne relacje (spisane przez siostrę Fikuse) - s. 1-6  
k. 6.



24.04.95

Rel. M-776/495

568/19/95

1

Jedni z wielu na Pomorzu w czasie okupacji.

Rodzina Kwinikowskich.

Rodzina Kwinikowskich przybyła na Kaszuby zdaje się po 1920 r. z Wielkopolski, w każdym razie do roku 1920 ich nie było na terenie gminy Luzina. Leon Kwinikowski ur. w 1895 roku, początkowo jako nauczyciel szkoły wiejskiej w Szkolnej Hucie pow. Morski/Wejherowa/, a potem jako kierownik szkoły powszechnej w Kębłowie pow. Morski, obecnie zamieszkały w Lęborku przy ul. Skoczylasa 6. Wywiad z nim i jego żoną Weroniką przeprowadziłem pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy miał jeszcze jasną świadomość tego co opowiada i przekazuje. Kilkakrotnie z nim przeprowadziłem wywiad, a potem napisany na maszynie otrzymałem do przeczytania i podpisania. Jego zeznania przekazałem do Muzeum w Stutthof i do Muzeum Piśmiennictwa w Wejherowie.

Początek wojny przeszedł w Kębłowie, a potem ukrywał się i pracował w Rumii na letniaku pod zmienionym nazwiskiem do połowy 1941 r. Na skutek fałszywego donosu przez niezadowolonych ludzi z Kębłowa, oś eskodliwym działaniem na rzecz Niemiec, musi natychmiast uciec z tego miejsca pracy i ukrywa się tymczasowo u znajomego Wilhelma Weisse w Lęborku do końca czerwca 1942 r. W rozmowie przy znanym mi przed wojną Frieztze Rohlmannem obecnie wójtem z Luzina, którego znał dobrze przed wojną i jako młody nauczyciel w Głazicy koło Czestkowa, otrzymał pracę i tymczasowe schronienie w Luzinie od 01.7.1942 r. i tutaj pracuje jako urzędnik gminny.

Po rozbięciu komórek organizacyjnych "Gryfa Pomorskiego" naternie powiatu morskiego w maju i czerwca 1943 r. nawiązują, a raczej z nim nawiązują kontakt, komenda powiatowa "Gryfa Pomorskiego" w osobach Edmunda Szaty z Wejherowa i Pawła Olszewskiego z Kębłowa. Zapoznają go ze sprawami organizacyjnymi i jej tajnikami, wyznaczając Leona Kwinikowskiego jako komendanta obszaru południowego powiatu morskiego. Jego zadaniem jako urzędnika gminnego i to sekretarza i członka Gryfa Pom. jest, udzielanie pomocy ludziom potrzebującym, zwłaszcza Polakom, w różnych postaciach, jak wydawanie kartek żywnościowych, wyrabianie lewych dokumentów dla ludzi zagrożonych, na blankietach kwestionariuszy dla Veksdeutschów, trzymanie kontaktów z komendą powiatową i wiele innych zadań potrzebnych organizacji. Jest to temat do osobnego opracowania, który obtychczas jeszcze nie widział światła dziennego. Razem z żoną

✓ Weronika i córkami Ireną i Wiesławą, działali działali w tajnej organizacji "Gryf Pomorski", stale w strachu i napięciu, bo liderom na szybko już skończyła wojna. Po tej krótkiej reprezentacji, nadech sam i tym zacznie mówić:

"Wiedziałem dobrze o działającej organizacji podziemnej na naszym terenie, jeszcze dłużej przed przystąpieniem samemu do tej organizacji. U mnie w domu na strychu, znajdowały się różne dokumenty członków Polskiego Związku Zachodniego, ukryte mandaty i wiele takich rzeczy, które mogły by nam zaszkodzić. Z naszej patriotycznej postawy sztywno sobie i wygniewano, twierdzili, że teraz należy obrać inną drogę. Ale myśmy nie li tylko jedną drogę, a była bardzo ciężka i niebezpieczna, ale dla nas sprawiedliwa i słuszna oraz uczciwa. Poza to Niemcy musiały tak czy siak przegrać tą okrutną wojną którą wypowiedziały całemu światu.

Kiedy udało mi się uratować z Rumii, wówczas poszukałem sobie miejsca na rok czasu w Łęberkużać trochę przycichnie. W roku 1942 spotykałem się z moim znajomym z dawnych czasów, kiedyśmy to grywali w karty, obecnie wójtem w Luzinie p. Rühlmannem, większym gospodarzem w Częstokowie.

✓ Kiedy dowiedział się, że z pracą u mnie nie bardzo, że nie mam stałego zatrudnienia i utrzymania, odrazu bez wszelkich dyskusji rzecz, że akurat brakuje mi jednego człowieka na gminie w Luzinie i że ja będąc miałem tam pracować jako dawny nauczyciel i odpowiednio wykwalifikowany człowiek. Ponieważ jeden człowiek zn gminy poszedł do wojska, wobec tego pracę miałem zapewnioną. Tutaj w swojej pracy pisarza gminnego, miałem możność zapoznania się z trudnymi sprawami bytowymi Polaków, którzy mieli ograniczone możliwości wyżywieniowe. Staralem się też pomóc jak tylko mogłem, chociażby ~~śmierć~~ wdowom po zabitych Polakach w 1939 r. Nie wszyscy może wiedzieli z urzędników niemieckich, a tym bardziej polskich, że taka ustawa istniała, wydana przez rząd niemiecki, tylko trzeba ją było znać i umieć się o nią ubiegać. Ja przecież znałem dobrze język niemiecki.

✓ Poprzedni pracownik gminy, który poszedł do wojska, w swojej pracy zawodowej zawsze radził się komendanta policji Badzianga i to mi się spodobało. Ja zaś wszystko czyniłem bez pomocy i rady tego policjanta, bo miałem te kwalifikacje, ale ta postawa ma je nie spodobała się Badziagowi i przez to moje pechymania nie były mi na rękę, więc miałem mnie na oku. Ale popierał mnie wójt Rühlmann, a swoje obowiązki pisarza umiałem dobrze wykonać.

Kiedy jedna z wdów po zabitym żołnierzu z Barłemina, przysłała do mnie za moją poradą otrzymała prawie wielki majątek, bo wypłacili jej zaleg

głęboci miesięczne od roku 1939 do 1944 r., a renta miesięczna wynosiła 400 marek, co w sumie dało jej kilka tysięcy marek, ogromna suma. Pacjent Będziąg o mało się nie wściekł, że zajmując się Polakami, którym się nie należy, że on takiej pensji nie otrzyma. Oparłem się wtedy na ustawie, podpisanej przez samego A. Hitlera, którą on przedstawiciel władzy powinien uszanować. Ale ta moja praca dodatkowa zaczęła się dopiero wtedy, kiedy wstąpiłem do organizacji podziemnej "Gryf Pomorski". W maju i w czerwcu 1943 roku nastąpiła wielka wyprawa i duże członków aresztowano i osadzono w lagrze Stutthof. Te wielkie niewiadome dopiero miało się zacząć. Chociaż wiadzieliśmy wśród Niemców co to jest Stutthof, tak szczegółów nie znano.

Jednego razu przyszli do mnie Edward Olszewski z Kębska, którego dobrze znałem i Edmund Szuta z Wejherowa. Przedstawili się członkowie komendy powiatowej na Wejherowo i zapraszali mnie wejść do tej organizacji. Zgodziłem się w końcu na to, naturalnie w porozumieniu z żoną Weroniką. ~~Zgodziłem się~~ Zasmajeniłem się z tajnikami organizacji, sformalizny przysięgę wierności, jaka wtedy obowiązywała. Zostałem mianowany komendantem na obszar południowy powiatu wejherowskiego. Moją łączniczką z komendą powiatową była Irena Antkowiak, która przynosiła grypsy i meldunki do mnie na gminę. Odemnie też otrzymywała meldunki do komendy powiatowej. Oprócz tego do tajnej organizacji "Gryf Pomorski", weszły do mnie moje córki, Irena rok urodzenia 1923 i Wiesława urodzona w 1925 r. Irena współpracowała ze mną na terenie Rumii i Gdyni, natomiast Wiesława zatrudniana była u jednego państwa, Niemców na terenie Helu jako pomoc domowa i miała wiele możliwości zdobycia wiadomości.

Na skutek donosów różnych ludzi, często u mnie w domu odbywała się rewizja, jednak pilnowałem i nie specjalnego nie znajdowali. Wobec niebezpieczeństwa wpadki, trzeba było opróżnić cały strych i wówczas odkryliśmy owe niebezpieczne dokumenta Polskiego Związku Zachodniego, mundury itp., co też wszystko zostało spalane. Przy jednej z rewizji, znaleźliśmy worek pełen bandażu i lekarstw, przyniesiony w ukryciu bez naszej wiedzy przez doktora medycyny Wojewskiego z Gościcina. Na dnie w worku leżał mundur jego skautowski, który wywołał pewne podejrzenie a moje zaskoczenie, bo sam o tym nie wiedziałem, co w tym worku się znajdowało. Ale jakoś udało mi się uratować i to dzięki wójtowi Rühlmannowi, bo inaczej zginąłbym w więzieniu lub w Stutthof. Żona i ja byliśmy tym wszystkim bardzo podenerwowani. W ciągłym strachu się żyło, a tu dopiero cała praca konspiracyjna się zaczęła. O mojej działalności z polecenia komendy organizacyjnej, nikt nie wiedział, oprócz żony i mnie nawet ona wszystkiego nie wiedziała. To była by oddzielna sprawa i

bardzo długa, ale ograniczę się do najważniejszego. Moim zadaniem było pomagać ludziom zagrożonym, ludziom biednym i Polakom, którzy cierpieli wielki niedostatek oraz danie możliwości ukrycia się ludziom zagrożonym. Na gminie znajdowały się dwie kasy pancerne, w których znajdowały się karty żywnościowe dla Volksdeutscheów, pieczętki urzędu gminnego, kwestionariusze osobowe i karty meldankowe. Do tych kas pancernych, kazałem dorobić klucze dodatkowe, które wykonał mi ślusarz Franciszek Traka z Rumii, również nigdzie nie pracujący i ukrywający się pod lewymi papierami jako nieuleczalnie chory gruźlik. On to otrzymywał karty żywnościowe na teren Rumii i dokumenta jako nieuleczalnie chory. Człowiek ten przez kilka był u mnie i pewnie jeszcze żyje/lata osiemdziesiąte/. Dodatkowe klucze chowałem najzwyczajniej w moim biurku służbowym, nigdy nie miałem ich przy sobie. Nikt też nie sprawdzał ich u mnie i nikomu nie przyszło do głowy, żeby je szukać w moim biurku. Do końca wojny Niemcy nie wpadli na ten pomysł, chociaż koledzy podpadło, że zawsze brakuje kartek żywnościowych dla Volksdeutscheów. Z kartkami żywnościowymi było tak, że mieliśmy pewien zapas, po tych co szli na wojnę, po tych co wyjechali na roboty itp. Zawsze się coś wykombinowało.

Na terenie mojej działalności i nie tylko, bo zasięg był poza naszą gminą, miałem możliwość z polecenie komendy "Gryfa", wykonać lewe dokumenta na nazwiska Volksdeutscheów. Musiało to jednak odpowiadać wiekowi ukrywającego się i na niby Volksdeutschea. Dokumenta były pierwszorzędne i doskonale wykonane i ci ludzie nadal żyli po wojnie. Wszystkich sobie dziś nie przypominam, ale do tych co mieli fałszywe dokumenta przenieźmie wykonane to: Stefan Wojewski z Gościcina, drugim był Vogt z Rumii; potem Antoni Kąkol z Chęrowatyni i inni.

Następnego dnia wieczorem przyleciał do mnie z Gościcina Stefan Wojewski abym mu na gwałt ratował jednego z księży, ukrywającego się u pewnego gospodarza pod Gościcinem, nazwiskiem Grunwald. Dziś nazwiska tego księdza nie pamiętam, ale wiem że żyje i jest na jednej parafii.

To był godz. 21.00, a dokument miał być wykonany jeszcze przed nocą, ponieważ ksiądz miał być aresztowany przez Gestapo. Straszna rzecz, jak wykonać taką sprawę i to zaraz?

Jeździłem zawsze do pracy w Luzinie swoim rowerem. Wsiadłem na ten rower i do urzędu gminnego w Luzinie. Wziąłem dodatkowe klucze i otworzyłem kasę pancerną. Z tamąd wyciągnąłem kwestionariusz osobowy podpisany przez wójta Rühlmanna i starostę powiatowego, włożyłem do kieszeni marynarki, kiedy wchodzi policjant Badziang. Struchlałem. On zaś zauważył w biurze światło i przyszedł sprawdzić, kto tam wszedł. Ekipa trzymał na mnie uważnie a potem spytał, co tutaj robię w nocy w biurze

gminnym o tej porze?..Tłumaczyłem się, że coś zapomniałem i nie wiedziałem czy zamknąłem moje biurko.Gdyby mnie tak zrewidował po kieszeniach i wtedy znalazł by dwie pary takich samych kluczy.Ale spokojnie i bez nerwów się mu wytłumaczyłem.Tutaj zaważyły lasy mojej całej rodziny.

Policjant Badiang był z pochodzenia Polakiem z Mazur.Jeden jego brat był Polakiem i nosił "P",pracował jako szofer w Gyni i nigdy nie skłamał się zdradą.Sam kiedy powiedział, że w jego rodzinie jeden się wyradził głupim o niższej kategorii ludzi.Kiedy front się zbliżał do Łazina,policjant Badiang ratował się ucieczką w stronę Gdyni, nie wiadomo co z nim się stało.

Przez rok czasu ukrywałem u siebie syna Langego z Łazina dopóki było można.To samo było z Drużnym u Kryży.Kiedy wysyłano mnie po niego,abym go przyprowadził do urzędu gminnego,zawsze tłumaczyłem po powrocie, że go nie zastałem i nie wiem gdzie się podział.Zirytowany policjant Badiang twierdził, że nie chce go znaleźć,ale oni też go nigdy nie odnajdywali.

Przyszła rok 1945 i nim wojna się skończyła,wieś przeżyła okropny widok i wstrząs psychiczny.Zawsze mówiono o lagrze Stutthof,niejednym wygrazani tym obozem,ale to co zobaczyli,zapamiętali chyba do końca życia.Przez naszą wieś Łazino,przeprowadzone transporty pieszo więźniów ze Stutthof.To był straszny widok.Dopiero teraz Niemcy mogli sobie popatrzeć na paczynania swoich pobratymców i różnych nacji spod znaku sfastyki i różnych innych nacji tego systemu.

Jednego razu prowadzą więźniów naprzeciwko naszych okien gminy.Z tyłu wlokł się jeden z więźniów,który już dalej nie mógł iść.Wówczas idący za nim SS-mann strzelał z tyłu głowy zabił go i poszedł dalej.Patrzyli się na to ja,Bronisława Petrykus,wójt Rühlmann,policjant Badiang i inni.Wszyscy struchleli i przetrząsali się,a Badiang wyleciał z urzędu i pobiegł do SS-manna z wymówką,dla czego zabił tego człowieka.SS-mann machnął na to ręką i poszedł dalej,a policjant stał wbarzony.

Teraz kiedyśmy mieli tyle ludzi głodnych,tymbardziej należało iść im z pomocą.Kto tylko mógł,ten brał z domu co miał i przynosił.Władze gminy w niczym się nie sprzeciwiały,nawet z tych zapasów kratek żywnościowych się wydawało.Tutaj już nie szła o drobniaki,tutaj trzeba było masowo stanąć z pomocą ludziom tak wycieńczonym i ludzie to uczynili.

Córki moje,które były poza domem,uciekły przed zbliżającym się frontem i włączyły się do pomocy w ratowaniu więźniów,których wleczono do lagra w Rybnie.Tam zносиły w workach żywność i lekarstwa,ładując to na rewery.Moja żona również tam zadziałała do tego Rybna z paczkami.Ale córki nie tylko zawiązywały racje żywnościowe i lekarstwa,bo



Na drugim razem przyprowadzili do domu trzech ludzi z lagru, dwóch więźniów, Malinewskiego z Terania oraz Wajewskiego z Częstokwa, trzecim był strażnik obozowy z pochodzenia Jugosławianin, który zabrał nawet ze sobą karabin służbowy. Dziekinierzy ukrywali się u nas w domu i czekali aż wkroczą Rosjanie.

Za trzecim razem córki miały już umówionych więcej więźniów i też kogoś ze strażcy, ale władze obozowe wpadły na plan ich działalności i aresztowały obie córki i tych więźniów, którzy się przygotowywali do ucieczki. To była straszna rzecz, w rękach Gestapo.

Z Rybna wywieziono ich na Gestapo do Gdyni, a z tamąd do Niemiec. Za Łabą już, kiedy kończyła się wojna, obie miały być powieszane lub rozstrzelane. Kiedy słyszyły czujność strażników, uciekały do Aliantów za Łabą i wtedy już po przekroczeniu rzeki Łaby, w teku strzelaniny, siostra czyli Irena strzymała strzała prosto w serce, niewiadomo od kogo.

Przeżłona i upadła na dach, pochowała siostrę w miejscowości Schönböck za Łabą. Wiesława wróciła do domu w sierpniu 1945 r. i zamieszkała w Kwidzynie, będąc już inwalidką. Wojna się skończyła i zdawało się, że wszystko zło minęło. Ale nas Gryfowców, których aresztowano, trzeba było płacić za głupią i błędną politykę powojennych działaczy politycznych i to mnie do wszystkiego zniechęciło. Nas Polaków z Pomorza, którzy cierpieli i ginęli za Polskę, nazywano poprostu Szwabami i to nas gniewało i obrażało. Nic się nam wie o naszym życiu okupacyjnym w okresie wojny. Misiatem wyjechać z rodzinnym stron i zamieszkałem w Lęborku, dalej parując się nauczycielstwem. Do przejścia na emeryturę, pracowałem w szkole podstawowej nr 3 w Lęborku. Tutaj również na nas nieraz nazywano jako Szwabi i ludzie niepewni. Ote coo nas Pomorzaków..".

Leon Kwinikowski-Lębork.

Masz jeszcze na zakończenie dodać, że Leon Kwinikowski zmarł 6.5. 1991 r. i pochowany jest w Lęborku, mając lat 96. Można też rzec, że dożył sędziwego wieku.

St. Fikis-1995 r.

*Wmimikowski Leon*

